

MACIEJ GUZY

TAM, GDZIE W GARDEROBIE SZLAFROK I MASKA PRZECIWGAZOWA

Maciej Guzy – student wiedzy o teatrze UJ.

Teatr Polski w Bydgoszczy
Artur Pałyga

TRUMP I POLE KUKURYDZY

reżyseria: Paweł Łysak, scenografia:
Robert Rumas, kostiumy: Konrad Parol,
wideo: Tamara i Piotr Wyrzykowscy,
muzyka: Stefan Węglowski, światła:
Robert Łosicki, współpraca artystyczna:
Anna Włodarska,
premiera: 16 lutego 2019

Trump i pole kukurydzy to kolejny w ciągu ostatniego roku spektakl dotyczący problemu zmian klimatycznych. Po *You are safe* Agaty Siniarskiej i *Ostatnim* Romualda Krężela, Paweł Łysak opowiada wielowątkową historię, w której obraz przyszłego świata, unieruchomionego między katastrofą a czasem po katastrofie, łączy się z wciąż niezażegnanyymi problemami z przeszłości.

Niemal całą scenę wypełnia szklana, przypominająca skomplikowane terrarium konstrukcja, którą zaaranżowano na ciasne, ale w pełni wyposażone mieszkanie. Jest sypialnia z potrójnie piętrowym łóżkiem, mała kuchnio-jadalnia, garderoba, a nawet sauna i wypełniony roślinami zimowy ogród. To jednak wyraźnie zbyt mało dla dwóch lokatorów i czterech lokatorek, których po wejściu na salę zastajemy podczas przygotowywania wspólnego obiadu. Panuje przyjemna atmosfera, ale ścisk nie pozwala utożsamiać tej sytuacji z towarzyskim spotkaniem wielkomiejskich *foodies*. Z czasem dostrzegamy także kolejne, niepokojące przedmioty, jak gdyby wyrwane z innego, apokaliptycznego porządku: między białymi szlafrokami wiszą dwie maski przeciwgazowe, każde pomieszczenie monitoruje niewielka kamera

na podczerwień, a przed schodami prowadzącymi do wnętrza stoi stara baryłka na ropę. Spokój obecnych na scenie ludzi kłóci się z wrażeniem panoptycznego *reality show*, którego bohaterki i bohaterowie zostali przerzuceni w oddaloną o kilka lat przyszłość, aby spróbować przetrwać w świecie podjętych przez nas decyzji. Dom to w istocie schron, muzealny przetrwalnik – symulacja porządku z pierwszych dekad XXI wieku, w którą włączono elementy niezbędne do przetrwania w nowej rzeczywistości.

Po obiedzie dwaj mężczyźni wstają, zakładają ochronne kombinezony i z ciśnieniowym opryskiwaczem ruszają w kierunku publiczności. Nieprzyjemnie chłodna mgiełka pokrywa twarze widzek i widzów. Mogłoby się здаwać, że poprzez ten gest mamy stać się tytułową kukurydzą, ale tego typu metaforyka chyba nie jest konieczna. W końcu to, co jako ludzie wytwarzamy, nie krąży wokół ochraniającej nas bańki, inteligentnie zmieniając środowisko, ale prędzej czy później wraca i wnika w nas, podobnie jak krople pestycydów przedostają się do tkanek roślin. Takie rozumienie pierwszej

sceny potwierdza zresztą jedna z bohaterek (Małgorzata Trofimiuk), która w trakcie zraszania prowadzi monolog o wszechobecnych połączeniach, obejmujących także człowieka. „Żywe drobinki kursują pomiędzy roślinami a tobą” – mówi. Jej mistycyzująca wypowiedź podbija odrealniony, oniryczny charakter pierwszej sceny. To swego rodzaju przywódczyni, szamanka, prezentująca antyracjonalną wizję przetrwania w nowych warunkach i głosząca konieczność redefiniowania relacji łączącej człowieka z tym, co dotychczas uważał za podporządkowane sobie otoczenie. Jednak jej podejście do postępującej katastrofy nie będzie jedynym.

Gdy obaj mężczyźni wracają do szklanego bunkra, okazuje się, że pochodzą oni z zupełnie innego porządku. W tym postświecie pojawili się dopiero przed chwilą i sprawiają wrażenie zaskoczonych sytuacją, w której ich władza nie jest oczywista. To Donald Trump i jego doradca (Mateusz Łasowski, Damian Kwiatkowski), do których po raz pierwszy dociera świadomość zaszłych zmian. Skoro świata w kryzysie nie można już bagatelizować,



Damian Kwiatkowski, Mateusz Łasowski;
fot. Natalia Kabanow

to oczywiście należy poddać go kolonizacji i wytworzyć sprawiedliwe reguły współżycia, a jakże, wyłącznie ludzkiego. Zatem, po pierwsze: „jest demokracja” – amerykański prezydent ze swoim towarzyszem zaczynają na nowo aranżować świat. Ich próba spotyka się jednak z pobłażliwą reakcją kobiet, co ustanawia, pozornie znamienne dla całego spektaklu, opozycję męskiego – reprezentującego minione – i kobiecego, antycypującego zmianę. Niestety, zarysowanie upłciowionej granicy nie jest do końca przekonujące, a jego sens zatracą się w dalszej, dość chaotycznej dramaturgii spektaklu.

Historia wspomnianych reprezentantów antropocentrycznego, skapitalizowanego patriarchatu ulega rozszczepieniu na dwa przeplatające się wątki, grane przez tych samych aktorów. Do amerykańskiego prezydenta dołącza żona Melania (obsadzenie w tej roli Kwiatkowskiego nie otwiera pola dla dalszej krytycznej refleksji, a sposób jej przedstawienia momentami budzi wątpliwości z powodu swej dość stereotypowej infantylizacji), a pomiędzy kolejnymi scenami z ich udziałem pojawia się kolejny duet – tym razem niezbyt rozgarniętych „złych białych facetów”, jak sami siebie dumnie określają. Postawy obu par są kompromitujące. Trump to paranoik, który pod wpływem botanicznego artykułu z „Newsweeka”, próbuje inwigilować porozumiewające się między sobą sadzonki kukurydzy, aby wykryć uknuły przez nie spisek. Niekiedy wykrzykuje pod adresem roślin groźby, a czasem tropi je z imitacją miecza świetlnego. Pozostała dwójka zdaje się w ogóle nie zauważać przemian w pojmowaniu rzeczywistości, a zainteresowana jest jedynie przywróceniem starego porządku. Ich reakcyjne podejście jest jednak ostentacyjnie trywialne i zamyka się w sferze czystego fantazmatu. Co pewien czas wychodzą w stronę publiczności w szlafrokach, z tępych nożami w dłoniach, i jedyne, na co ich stać, to rozmowa o wysłaniu wszystkich wegańskich miłośników *slow life* na Marsa. Mogłoby się wydawać, że to ironiczne spłylenie ma niejako

zamknąć dyskusję nad genezą kryzysu, aby przekierować uwagę na nową wizję jego rozwiązania, stworzyć przestrzeń dla odmiennej perspektywy, której zmiana wydaje się kluczowym wyzwaniem współczesnego ekoaktywizmu. Tu jednak pojawia się problem, bowiem zainicjowana na wstępie opozycja wobec skompromitowanego męskiego spojrzenia każe doszukiwać się owej alternatywy w działaniach pozostałych czterech kobiet. A te są mało wyraziste. Trudno powiedzieć, aby łączyła je jakaś wspólna strategia oporu. Bodaj najwyraźniejsze stanowisko zajmuje wspomniana „szamanka”: okazuje się byłą ichtiolożką, której przestała wystarczać zhierarchizowana relacja z „przedmiotem badań”. Teraz próbuje rozmawiać z zachowanymi w domowym ogrodzie roślinami, albo podaje towarzyszom i towarzyszkom łyżkę, aby spojrzeli na siebie w zniekształconym, płynnym odbiciu i dzięki temu ulegli przemianie. Niestety, jej schematyczna postawa razi powierzchownością i infantyлизmem. „Szamanka” jest uosobieniem wyobrażeń ludzi uważających zwrot ekologiczny za niepoważną fanaberię, a nie kimś, kto miałby do zaproponowania realną alternatywę.

Szybko okazuje się, że *Trump i pole kukurydzy* nie daje okazji do podjęcia ćwiczeń z przyjmowania alternatywnych perspektyw, nie prowokuje publiczności do odmiennego postrzegania nie-ludzkiego i odkrywania własnego uwikłania, o którym Timothy Morton pisze: „całe moje fizyczne bycie schwyte jest w siatkę” (Morton, 2018, s. 249). Bydgoskie przedstawienie to raczej próba uporania się ze złożonością epoki antropocenu, a nie poszukiwanie narracji postantropocentrycznej. Następujące po sobie sceny to kolejne odsłony katastrofy ekologicznej, której symptomy nie zawsze są ze sobą kojarzone. Twórcynie i twórcy przywołują różne konteksty i deformują je, chcąc uwidocznąć szereg paradoksów świata drugiej dekady XXI wieku. Schron przestaje być wyłącznie terrarium z ostatnimi przedstawicielami ludzkiego gatunku, a staje się miejscem splotu tych sił, które człowieka tam właśnie

zaprowadziły. Dystopijna przyszłość gwałtownie miesza się z tym, co teraźniejsze.

Znaczna część spektaklu poświęcona jest elementom kolonialnej geopolityki zachodniego świata, podbudowanej mieszanką arogancji i hipokryzji. Pojawia się zupełnie nowa historia kobiety (Małgorzata Witkowska), która opowiada o swojej podróży do Burkina Faso, gdzie pod wpływem spotkania ze śmiercią zmieniła swoje życie i zaczęła walczyć o rozwój polityki humanitarnej i migracyjnej. Aktywistka prowadzi korespondencję z kancelarią Prezydenta RP (rzecz jasna, spotykając się z niezrozumieniem i ignorancją), a także marzy o prezydentce Bydgoszczy, która założyłaby obóz dla uchodźców na placu przed teatrem. Oczywiście krytyka jest tu obopólna – cios skierowano zarówno we władzę, dosłownie wypinając się na przedstawiane przez nią problemy, jak i w samą kobietę, która reprezentuje model pop-aktywizmu, będący w istocie opowiadaniem siebie w stanie historycznego przejścia, produkcją samozadowolenia z działania w imię dobra. Choć obecność tego wątku może zaskakiwać, uważam, że jest on interesujący. Afryka to jeden z kolejnych węzłowych punktów, w którym język katastrofy ekologicznej przekształca się w to, odnośnie czego Europejczycy o wiele chętniej używają określenia „zagrożenie”. O ile łatwo pozostać w „bezpiecznym” oddaleniu od topniejących lodowców i zmniejszającej się populacji gatunków, o tyle wzrost średniej temperatury na drugim co do wielkości kontynencie świata, utrudniający produkcję żywności i generujący kolejne konflikty zbrojne, wzmocni skalę procesów migracyjnych do poziomu, jaki obecnie trudno sobie wyobrazić. Niestety, w bydgoskim spektaklu brakuje ciągłości dramaturgicznej, która powiązałaby kwestię kryzysu klimatycznego z polityką migracyjną. Oba dyskursy funkcjonują niejako obok siebie, a związki między nimi pozostają niewidoczne. Łączy je tylko przekonanie o trudnościach w znalezieniu języka, który umożliwiłby wyjście z pogłębiającego się impasu.

Z tym wiąże się zresztą kolejna wątpliwość. Przyjęta w przedstawieniu strategia krytyczna sprawia wrażenie wtórnej i nieadekwatnej do podjętego tematu. Katastrofa ekologiczna została sportretowana jako kolejna paląca kwestia społeczna, która poddaje się obiektywnemu sprobematyzowaniu. Znane z rzeczywistości postawy zyskują swoją sceniczną reprezentację, a następnie są ze sobą konfrontowane w niemal dialektyczny, choć podszyty ironią sposób (co zwykle kończy się sprowadzeniem ich do absurdu). Twórczynie i twórcy oraz publiczność mogą dzięki temu zachować zewnętrzną, oceniającą pozycję, co stoi w radykalnej sprzeczności z coraz głośniejszymi propozycjami myślenia ekologicznego, w którym człowiek nie unosi się ponad kryzysem, doskonale dostrzegając każdy jego aspekt, a spada w samo jego centrum i jest zmuszony do nauczenia się siebie samego od nowa. Nieuchronnie prowadzi to do pytania: czy nieuwzględnienie przeobrażeń w wizji podmiotowości człowieka, nawet pomimo krytyki jego destrukcyjnej działalności, nie stanowi luki w wyjściowych założeniach? Czy forma abstrahująca od przekierowania uwagi na to, co nie-ludzkie, wciąż może być produktywna?

Trump i pole kukurydzy pozostawia odbiorcę z wrażeniem, że chciałoby się pójść o krok dalej – wejść na pole eksperymentu, w którym język nowego ekoaktywizmu wykorzystałby specyfikę teatru. Twórczynie i twórcy spektaklu podążają jednak drogą kumulowania kolejnych kontekstów i wieloaspektowego opisywania problemu, co, w moim przekonaniu, nie spełnia swojej roli w kontekście trwającego kryzysu. A szkoda – w końcu problem wciąż się pogłębia, a Trump jeszcze nie zamienił się w popcorn, jak w finale bydgoskiego przedstawienia. ■

Bibliografia:

Morton, Timothy, *Lepkość*, przeł. A. Barcz, „Teksty Drugie” 2018 nr 2.